

Klowni najbardziej poszukiwani i najlepiej płatni

Bywalecy wielkich cyrków i teatrów rozmałości — często nawet nie zdają sobie sprawy, że podziwiani przez nich „numer” — wykonywany przez śmiałych akrobatów na wielkiej wysokości, „numer” — w którym artyści wciąż igrają poprostu ze śmiercią — nie jest ani w części tak drogo opłacany przez właścicieli przedsiębiorstwa cyrkowego, czy widowiskowego, jak popisy kłownów. Tych właśnie wesołków — cudacznie ubranych i uszminekowanych, kręcących się po arenie i produkujących się swą sztuką — nie narażając ich na najmniejsze nawet niebezpieczeństwo. Mówimy tu oczywiście o cyrkach i teatrach varieté — o światowej marce, mających swe siedziby w największych metropoliach świata.

WSZEDZIE WSZECHWŁADNA MODA

Tylko fachowcy wiedzą, że płaci się nie za to, czy ktoś naraża każdej chwili swoje życie — lecz, czy rodzaj jego popisów jest w danej chwili modny. Nie wiemy, czy przynosi to zbytnią chlubę na szym ultranowoczesnym pojęciu, że jedynymi artystami, którzy zawsze są w modzie — są

kłowni, zwłaszcza zaś kłowni t. zw. muzycalni.

Ci zawsze są poszukiwani i płatni wspaniale. Szczególnie charakterystyczną jest rzeczą, że największe gaje pobierają kłowni nie w Ameryce, jak powszechnie się sądzi, lecz w Anglii. Gaża 30.000 szylingów na miesiąc — wcale nie należy do rzadkości, wymaga się jednak od kłowna, by znał on język angielski i posiadał umiejętność grania, przynajmniej na dwóch instrumentach.

10 LAT PRACY DLA 20 MINUTOWEJ PRODUKCJI

Przypatrzmy się teraz — w jak niewspółmiernym stosunku pozostaje praca innego rodzaju artystów i ich płacy do pracy i płacy kłowna. Taki n. p. słynny żongler Rasielli — musiał pracować przez 10 lat, po 8 godzin dziennie — aby móc kiedyś przez 20 tylko minut zaprodukować się na scenie! Za swój numer otrzymywał wprawdzie 2000 szylingów, lecz, gdy uwzględnimy ogrom jego pracy przygotowanej i czasu jaki na to potrzebował, widzimy, że jest to właściwie marne wynagrodzenie,

w stosunku do gaży, przeciętnej nawet kłowna angielskiego. Albo artysty filmowego, który za jeden jedyny film, nie wymagający więcej, niż około 130 godzin czasu, otrzymuje tysiące!

To też słusznie zauważa „N. Wiener Journal” — skąd czerpiemy powyższe wyjątki, że w dobie wszechwładnej mody — zawód artysty cyrkowego stał się bardzo niewdzięczny.

(Kar.)

Sztuczny rad!

Czy epokowe odkrycie amerykańskiego chemika

Cała Ameryka zostaje pod wrażeniem odkrycia, którego miał dokonać pewien słuchacz uniwersytetu, w czasie badań w laboratorium chemicznym. Oto, według entuzjastycznych doniesień prasy amerykańskiej, miał on wynaleźć ni mniej ni więcej jak tylko sztuczny rad.

ZNACZENIE RADU W MEDYCYNIE

Jest dzisiaj rzeczą ogólnie znaną — jak ogromne znaczenie po-

siada rad w leczeniu niektórych groźnych chorób — zwłaszcza zaś nowotworów złośliwych czyli t. zw. raka. Często rad, to jedyny środek, mogący przynieść wyzdrowienie lub znaczną ulgę w cierpieniach chorych na nowotwór.

Cóż, kiedy cena radu jest fantastycznie wysoka, co powoduje, że tylko wielkie szpitale — w szczególności instytuty przeciwrakowe — mogą posługiwać się tym potężnym środkiem leczniczym, wynalazkiem naszej rodaczki, genialnej Curie - Skłodowskiej. Wysoka cena radu pochodzi stąd, że z 10000 kg. rudy uranowej można wydobyć zaledwie 1 gram radu, produkacja zaś tej ilości, wymaga prawie jednego roku czasu. Głównym do stawcą tego cennego materiału na Europie jest Joachimstal w Górach Kruszcowych, następnie idzie Kanada i Kongo belgijskie. W ogólności produkcja światowa radu wynosiła w ciągu ubiegłych lat 30, zaledwie 600 gramów czystego radu. Z tego 225 gramów posiadały Stany Zjednocz. Ameryki Półn. Szpital Belle - vue w Nowym Jorku na skarb nie mały, bo 9 i pół grama.

W Europie najlepiej wyposażonym w rad jest szpital w Sztokholmie, który posiada aż 10 gramów tego znakomitego środka do skutecznej walki ze straszną chorobą raka.

Widzimy z tego, jak mała stosunkowo ilość radu stoi do dyspozycji pozostałym szpitalom na świecie. Tymczasem ilość chorych na raka wciąż wzrastała a co za tym idzie, wzrosło też zapotrzebowanie na rad i to tak dalece, że

nie może być już w zupełności pokryte.

JAK DOKONANO ODKRYCIA SZTUCZNEGO RADU

Pewien młody chemik, dzieła tego dokonał zupełnie przypadkowo. Oto zauważył, w czasie prób z pewną substancją w reaktorze, iż pozostaje tam osad, który w ciemności świeci.

Dokonane natychmiast przez specjalistów badania wykazały, iż osad ten, posiada zarówno skład chemiczny, jak i właściwości fizyczne, zupełnie podobne do prawdziwego radu. To stało się powodem, że przypadkowy wynalazca zajął się niestrudzenie dalszymi pracami i badaniami i tak potrafił udoskonalić sposób wytwarzania owej substancji, że jest już w możności podjąć jej fabrykację na większą skalę.

CO ZNACZY TO ODKRYCIE DLA LUDZKOŚCI

Jeśli faktycznie mamy tu doczynienia nie z humbugiem amerykańskim — lecz z naukową prawdą — to skutki odkrycia młodego chemika, który nawet jeszcze nie ukończył studiów uniwersyteckich — mogą być dla ludzkości prawdziwym dobrodziejstwem.

Cena bowiem tego sztucznego radu będzie akurat sto razy tańsza niż radu naturalnego. Umożliwiło to nabycie go nawet małym szpitalom, a tym samym leczenie mimo objęć może nawet najbiedniejszych chorych, pozbawionych obecnie prawie w zupełności tego, tak potężnego środka leczniczego.

(Kar.)

Tragedia na morzu

Obłąkany Kapitan na maszynie nie chciał opuścić tonącego statku

PARYŻ, 2. 7. Straszliwa burza szalała jednej z ostatnich nocy na morzu koło Lorient.

Prefekt morski z Lorient, wiceadmirał Defeutenko, przeglądając lunetą horyzont dostrzegł w oddali na falach kołysany wiatrem niewielki statek, a na jego maszcie przyczepionego człowieka.

Ekspedycja ratownicza, mimo burzy udała się na pomoc statkowi. Gdy dobito do statku, poprzez łomot bijących fal i huczący wiatr marynarze usłyszeli niesamowite okrzyki człowieka, wiszącego u maszty.

— Mój statek nie zatoni! Nie zejść z pokładu!

Staczając walkę z rozszalałym żywiołem ratownicy dostali się na pokład i siłą zdarli z maszty człowieka, stawiącego im opór. Był to, jak się okazało, właściciel statku Joseph le Gall, który pod wpływem katastrofy dostał ataku szoku. Według obliczeń ekspedycji ratowniczej, musiał on wisieć na maszcie kilkanaście godzin, od chwili, gdy statek zaczął tonąć.

Pięciu ludzi załogi zatono. Ciała ich znaleziono wyrzucone przez morze na plaży Plouhinec.

Nieszcześliwego właściciela statku odstawiono na brzeg w stanie beznadziejnym.

Na zebraniu Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą p. Clarence A. Brodeur, artysta - malarz, profesor sztuk pięknych w wyższej szkole żeńskiej Vassar College w Stanach Zjednoczonych, wygłosił odczyt p. t. „Działalność sztuki w maszynowej erze”.

Prelegent oświadczył na wstępie, że chociaż maszynowa era jeszcze nie wywarła tak wielkiego wpływu na Polskę jak na Amerykę, to jednak polskie życie miejskie posiada już pewne oznaki tej ery w postaci samochodu, samolotu, radia etc. Era ta już wpłynęła na tutejszy sposób życia. Masowa produkcja przysparza ludziom dużo wygod a nawet luksusu, jednocześnie jednak powiększa pęd i skomplikowanie życia.

W Ameryce szybkość, sprawność, masowa produkcja o niskim koszcie są zasadniczymi czynnikami. Lecz miasta wyrosły za szybko, są oszczędzone przez dzielnicę zamieszkałe przez nędzę, są też zatłoczone przez ruch uliczny. Amerykańska masowa produkcja w końcu przewyższyła zapotrzebowanie rynków istniejących i w następstwie zjawiała się depresja gospodarcza i bezrobocie.

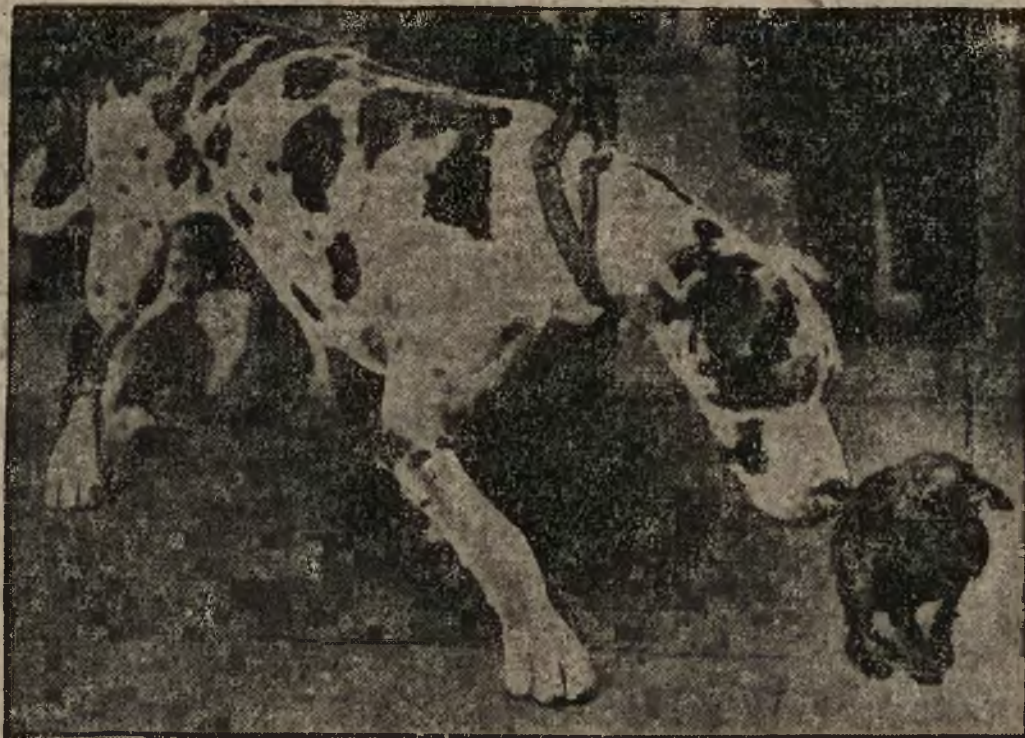
Co jednak sztuka ma z tym do czynienia? Jak może ona zaradzić ciężkim warunkom życia miejskiego, lub też użyć bezrobociu? Celem sztuki jest wzbudzenie w ludziach współczucia ku bliźnim. Prawdziwym artystą jest ten, który prowadzi życie ofiarne. Szczególnie w Ameryce sztuka mogłaby dziś rozwiązać społeczne problemy za pomocą nauki urbanistycznej i przez uprzedmiotowienie architektury. Prelegent przedstawił praktyczny sposób zastosowania sztuki w urbanistyce miast przyszłości. Nakreślił na nowo planów du-

Bobry na Śląsku

Ciekawy eksperyment przeprowadza dwóch bezrobotnych w Rudzie na Śląsku. Na swoich stawach przystąpili oni, przy wydatnej pomocy gminy do hodowli bobrów. Bezrobotny Wrona sprowadził na razie

5 sztuk tych zwierząt. Z hodowlą bobrów p. Wrona zapoznał się na emigracji w Holandii. Sprawą zainteresowało się również starostwo w Świętochłowicach.

Na wystawie psów



Dwaj konkurenci do jednej nagrody.

ARMIN O. HUBER

59)

LUDZIE I ZWIERZĘTA

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Inż. Kościeszka odwiedza Lonię Jansen. Wchodząc do jej domu, usłyszał urywek rozmowy, jaką prowadziła z Old Billem. Dziewczyna oświadczyła Old Billowi, że kocha Kościeszka.

Dziewczyna siedziała na składanym krzeselku. Old Bill stał na środku niewielkiej izby, patrząc na Polaka, jak na upiorną zjawę. W rozchełstanej koszuli, ze strzechą siwych włosów i ze zmierzwiłą brodą wyglądał dziko.

Loni patrzyła kolejno szeroko wzartymi błagalnymi oczami na obu mężczyzn, którzy stali naprzeciw siebie w niezbyt pokojowej postawie.

Tak upłynęła przynajmniej cała minuta.

Nagle Old Bill zacisnął pięści i rzucił się na Polaka. Dziewczyna krzyknęła. Kościeszka chwycił starego dziwaka za podniesione ramiona i siłą opuszczył je w dół.

— Przeklęty szpieg! — zawył Old Bill.

W tym momencie robił wrażenie zupełnie niepoczytalnego.

Nie bacząc na podeszły wiek, był jeszcze krzepki: niemal całe życie spędził w tych dzwiewczych lasach, chadzał w pojedynkę na niedźwiedzia, wreszcie w tym momencie atak szaleńca potroił jego siły. Szarpnął się gwałtownie, jednocześnie kolanem kopnął przeciwnika w brzuch tak mocno, że Ko-

ścieszka odleciał na parę kroków, chwając się. Oparł się o ścianę, w ciągu kilku sekund nie mógł tchu złapać.

Prerażona dziewczyna znów krzyknęła.

Old Bill złapał ciężką, długą ławkę drewnianą i ruszył naprzód.

Kościeszka uchylił się w ostatniej chwili; to znacznie osłabiło siłę uderzenia; ławka ześlizgnęła się po jego lewym ramieniu.

— Zamorduję... rozwalę ci łeb...! — ryczał Old Bill.

Dziewczyna chciała rozdzielić mężczyzn, lecz Kościeszka ją odsunął i w zapale zrobił to niezbyt łagodnie.

Miał dość czasu na wyciągnięcie pistoletu, jednak tego nie uczynił i nie zastanowił się nawet, co go powstrzymało właściwie. Zamiast tego chwycił stół, na którym stała naftowa lampa i postawił go między sobą a oszalałym starcem.

Lampa spadła na ziemię i zgasała. Przez otwarte na oścież drzwi sączył się do izby czerwony odbłask ogniska, oświetlając wyraźnie sylwetki przeciwników.

Dziewczyna coś krzyczała, ale Kościeszka nie słuchał. Pilnował uważnie rozjuszonego Old Billa, spoglądał ukradkiem dokoła, szukając jakiegoś przedmiotu, którego mógłby użyć do obrony.

Nic nie znalazł.

Nagle w dłoni starca błysnął nóż myśliwski. Siedmiocalowa klinga połyskiwała czerwienią w chwiejnym świetle ogniska.

Teraz Kościeszka sięgnął po pistolet. Wyciągnął go z pochwy, choć wiedział z góry, że nie strzeli do Old Billa nawet w tym momencie, gdy jego życiu zagrozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Pomyślał o Loni Jansen, zrozumiał, że ją kocha, lecz utracił bezpowrotnie, jeśli zabije jej wujka.

Odrzucił pistolet.

Odległość między nim a oszalałym starcem zmniejszała się ciągle. Widział jego nieprzytomne, nalane krwią oczy, w których zapalały się iskiereki jak gdyby złośliwej radości na widok bezbronnego przeciwnika.

Old Bill zbliżał się powoli. Być może w tej chwili Kościeszka był dlań istotą bezosobową, na której w przystępie obłądzenia chciał pomścić wszystkie swoje krzywdy; być może zdawało mu się, że zabijając tego człowieka raz na zawsze usunie wszystko, co mąciło jego samotność. Robił wrażenie człowieka, opętanego a m o k i e m — nie powstrzymałby go żaden pistolet, bo już nie odpowiadał za swoje czyny.

Kościeszka stał jak przyrośnięty do ściany. Mógłby się ratować ucieczką, droga odwrotu jeszcze nie była odcięta.

— Nie ucieknę — pomyślał, — nie zostawię Loni z obłąkanem, który w tym stanie nie odróżnia z pewnością swojego od obcego!...

Old Bill podszedł tak blisko, że Kościeszka już odczuwał jego gorący oddech. Nóż błysnął nad jego głową. Musiał ugodzić w pierś. Ręka, którą Polak zasłonił się odruchowo, nie mogłaby powstrzymać strasznego ciosu.

Kościeszka zamarł. Jeszcze ułamek sekundy... teraz... teraz... już!

Jednak cios nie padł.

Nagle silny dreszcz wstrząsnął ciałem Old Billa. Starzec zatoczył się, palce prawej dłoni rozwarły się, nóż się wyslizgnął, przeleciał tuż przed twarzą Kościeszki, upadł i utknął w desce posadzki. Twarz Old Billa skrzywiła się okropnie i zastygła w skurczu, przez na pół rozchylone powieki widać było tylko białka oczu.

Starzec osunął się ciężko na ziemię, z głuchym jękiem padł na wznak, rozrzucając szeroko ramiona i znieruchomiał.

D. c. n.